Nr 15. Kraków 17 lipca 1869. Rok III.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycyja dla miasta Krakowa w księgarni **J. Czecha** hotel dreździeński i **F. Baumgardtena** w głównym rynku.
Listy należy adresować: „do Administracyi Kaliny" — w Krakowie.

Józef Dulęba

(Wspomnienie pośmiertne).

Życie narodu to niby nieprzerwana nić wydarzeń — zbiorowisko moralnéj pracy, z pod któréj niewolno wyłamywać się nikomu — lub ustawać w drodze do celu wiekowéj przyszłości; każdy pracować musi — wielki czy maluczki, ma swoje miejsce i wyznaczoną robotę. A biada temu ktoby spocząć chciał przedwcześnie nie wyczerpawszy sił wszystkich, lub założywszy ręce odmówił daniny ze skarbów swoich. — Wszyscy zarówno znosić muszą na jeden ołtarz, bo według zamożności odlicza się datek, a podług wykonania nagradza się robota. Więc spieszyć się musisz abyś nie przyszedł zapóźno, lub nie zmarnował chwil kilku, bo ci nie doliczą w zapłacie, albo co gorzéj pominą zupełnie, gdy przyjdzie czas nagrody!

Przedwieczny rozdzielił pracę i dał wzór, w który patrzy się koléj wieków, i mniéj więcéj stara się odczytać myśl Jego, aby według téj myśli dążyć. Każdy więc zaprzątnięty przy swoim warsztacie, bezwiednie lub świadom swego posłannictwa, wypełnia missją według wyroku i pracuje, bo mu spocząć nie wolno, jeżeli nie chce, aby po nad jego życiem przeszła pogarda pokoleń, lub nie strącono go w wiekową ciszę grobów!

Stają więc wszyscy na wezwanie, by dążyć wspólnie, różną koleją losów.



JÓZEF DULĘBA.

I oto, ani wiész kiedy, życie twoje jedne maluczkie i ciche wplata się w ogólny łańcuch, w nową tkaninę dziejową, która nagle zjawiła się przed tobą jako wielkie posłannictwo. — Uważnie i pilnie rozglądasz się w około, i zaczynasz pojmować harmonją olbrzymiego dzieła Przedwiecznego, a zapatrzony w Jego twarz, bijącą promieniami gwiazd i słońca, duch twój skrzydlaty, naraz zerwał się do bezmiernego lotu i szuka granic napróżno!

Nędzarz i zwyczajny pracownik przed chwilą, nagle, powracasz na ziemię, by opowiadać coś tam podsłyszał u przedwiecznego Tronu. A wtedy staje przed tobą anioł o białéj szacie, z uśmiechem boskiéj dobroci i przyrzeka po drodze życia sypać ci kwiaty, byleś był pomiędzy pierwszymi w robocie i przodował pieśnią Pańskim żniwiarzom!

Naraz więc skąpawszy skrzydła w jasności, przebijasz

się przez milczące tłumy, i z wyżyn twojego ducha ciskasz pioruny lub cichą modlitwę, która rozgrzewa życiem miljony! i tłumaczysz im jeden dźwięk wielki podsłuchany w olbrzymiéj harmonii światów. Któż wié, a nuż wyśpiewasz wszystko? lub wypowiesz te skarby, jakich dusza twoja jest pełna? Nie rachujesz więc życia, bo nie myślisz aby ono wyczerpać się kiedy mogło, pewny, że dopowiész ostatniego dźwięku przed grobem, za który należy ci się nieśmiertelność.

Zamierzywszy podać wam, piękne czytelniczki, życiorys artysty, widzę, że trudno mi pójść utartą drogą krytyków i poprzestać tylko na zestawieniu dat i przeglądzie wybitniejszych chwil z przeszłości człowieka, którego pamięć jeszcze żywo staje nam przed oczy. Zdaje się, że uderzony akkord, wśród ciszy grobu kona gdzieś jeszcze, niedośpiewawszy całego tonu — że niedotknięta jeszcze struna zadźwięczy życiem i popieści słuch nasz harmonją.

Lecz oto pracownik odrobił już dzień Pański — i pożegnał się z nami.

A byłto jeden z tych powołanych, co miał przodować zwyczajnym wyrobnikom i kołysać ich pieśnią w niedoli. —

Józef Dulęba, urodzony w Krakowie 1842 r., dzieckiem jeszcze będąc, okazywał nadzwyczajne zdolności do muzyki. Żywego i bystrego umysłu, pojmował jednym polotem ducha całą poezją zamkniętą w harmonii dźwięków. A kiedy w czternastym roku życia mały jeszcze chłopczyna wystąpił na publicznym koncercie w Krakowie, zapowiedział piękną i wielką przyszłość, do któréj dążył z wytrwaniem i pracą. Wysłany do konserwatorjum paryzkiego, zkąd po dwuletnim pobycie powróciwszy, powołany obowiązkami dobrego syna ojczyzny, służył jéj wiernie jako porucznik w oddziałach Langiewicza, Jeziorańskiego i Kruka.

Przed tém jeszcze kilka koncertów danych w Krakowie i we Lwowie, zjednały mu zasłużone i głośne imię pianisty. Z tym więc zapasem sławy, ś. p. Józef Dulęba wyjechał zapoznać się z Warszawą, gdzie przyjęty z całym zapałem uznania, czarował słuchaczów mistrzostwem wykończonéj i charakterystycznéj gry swojéj.

Po krótkiéj a ciężkiéj słabości umarł tamże dnia 1go czerwca b. r.

I oto znowu jeden z tych posłanników co to idą w świat, pieśnią kołatać do serc ludzkich — zeszedł ze swego stanowiska.

Po ludziach takich, jakby po duchach dobrych, błąkających się wśród ciemnych chwil życia narodu, zawsze pozostaje niezapełniona szczerba — i tęsknota rzewna za nimi. Bo ludzkość żyje nie samym tylko chlebem powszednim, a wśród codziennéj pracy pragnie pokarmu dla duszy, aby nie skonać z pragnienia.

L. T. R.

MODLITWA.

Matko przeczysta! Oto dzisiaj w skrusze
Hardem przed Tobą kolanem upadam,
Zciśnięte pięści do modłów rozkładam,
Za nią co zeschłą i zwątpiałą duszę,
Przed Twym obrazem świeżyć każe zawsze,
Z czułością matki, słodyczą anioła
Zwraca się ku mnie i w niebo mnie woła.
Dajże jéj Matko za to dni łaskawsze,
Niech myśl, co długo na dnie serca szlocha —
Ciałem się stanie — niechaj to, co kocha,
Szczęściem jéj będzie — a westchnę jak ona:
Maryjo matko! bądź błogosławiona.

CISZA.

Ty mnie dziś o pieśń prosisz? — O kochana!
Są chwile, w których ból pieśni pokruszy,
I cisza ciężka, parna, ołowiana
Piersi ugniata — myśl wtedy bez duszy,
Jak kwiat powiędły w ziemię chyli głowę,
I pieśnią wtedy — milczenie grobowe.
Dusza jak zgniłe bagno w miejscu stoi,
I śpiewać, myśléć i modlić się boi.

M. B.

FAKTOR.

Ramotka z życia prowincjonalnego.

przez **Wł. Ładę.**

(Ciąg dalszy).

III.

Piękny ranek kwietniowy godzien jest zaiste romantycznego opisu. Chciałbym bardzo, za pomocą kilkudziesięciu wierszy prozy poetycznéj, odmalować wam, nadobne czytelniczki i te śniegi, które już poznikały pod wpływem dobroczynnego słońca, i te strumyki, ostatkiem śmiecia zimowego nieco zamulone, i te krzaczki bezlistne, sterczące jak pewne niemiłe szkolne narzędzie, i tę pszenicę zieloną, co kępkami rozsiadłszy się po szaréj roli, tworzyła z nią całość, bardzo do poplamionego dywana podobną.... Aj, aj! proza poetyczna nie dopisuje.... a któż temu winien, jeśli nie pan Deodat? Przystępując do opisania dziejów jego podróży, jego oczami mimo wiedzy i chęci, spoglądam na budzącą się ze snu zimowego przyrodę.

Pan Deodat albowiem był zbyt praktycznym człowie-

kiem, aby podobnemi „głupstwami“ się zajmować. Jadąc przez swoje łany, i on mimowoli porównał zrzadka weszłą pszenicę do kobierca, przed sześcią laty kupionego; ale myśli jego wnet zwróciły się do bron, któremi trzeba było co rychléj gliniasty grunt poruszyć. Rachował, ile to koni i ludzi na morg wypada, i mruczał pod nosem: „15 razy 20 . . . to czyni . . . akurat 300 . . . a 6 razy 20 . . . to 120 . . .“

Mijając Leszczynów, pan Deodat przerwał rachunki. Spojrzał na śliczne oziminy, na dobrze uprawne role, i z westchnieniem pomyślał:

— Czemu to nie moje! . . .

I już obliczał, ilu korcy każdego gatunku ziarna pan Kozłowicz spodziewać się może. Już widział jego pełne pasieki, jego brzuchate sterty, a mając czas potemu, zazdrościł całém sercem . . . A, przepraszam — całą potęgą jadu, którą chciwość połączona ze skąpstwem może wyrodzić pod czaszką szalbierza.

Na rozstajnych drogach Iwanko obrócił się do pana.

— Do Łapowic! — krzyknął pan Deodat.

Łapowice były posiadłością pani Gruszkiewiczowéj. Rozpoczynając stanowcze kroki, pan Deodat uznał za stosowne wstąpić do sprzymierzonéj, dla zasięgnięcia języka, jako też i dla ostatecznéj narady.

— A! dzięki Bogu, żeś pan przyjechał! — zawołała pani Anastazja do wchodzącego. — Jestem w rozpaczy! . . .

— Cóż się stało?

— Wystaw pan sobie, Lubkowski był znów u Sarnickiéj, i to dwa razy w ciągu tygodnia!

— Zkąd pani wiész o tém?

— Wszak droga przechodzi pod samemi oknami! . . . widziałam go na moje własne oczy . . .

— To jeszcze nie dowód . . . mógł jechać do Toporowiczów.

— A cóżby tam robił? Zresztą, wziąłby był Stefanję, a do Sarnickiéj zawsze sam jeździ. Dwa razy! . . . . na własne oczy widziałam . . . . a do mnie nie wstąpił nawet!

— Zły prognostyk, pani dobrodziejko!

— Więc pan tracisz nadzieję? . . . o ja nieszczęśliwa!

Pani Gruszkiewicz chciała zemdleć, ale jakoś nie szło. Pan Deodat tymczasem rzekł:

— Jadę właśnie do Lubkowskiego i wstąpiłem na chwileczkę do pani dobrodziejki, celem ostatecznego porozumienia się.

— Jakto? wszakże już przed tygodniem porozumieliśmy się? — zapytała pani Anastazja, drżąc na myśl nowego rewersu.

— Tak jest, co do jednéj rzeczy . . . ale teraz chodzi o sposób wspólnego działania. Wybadam Lubkowskiego i postaram się namówić go, aby wkrótce panią odwiedził. Pani zaś w parę dni potém oddasz wizytę. Przedewszystkiem wypada udawać przyjaźń dla Stefanii, aby starego przywieść do przekonania, że potraficie i późniéj żyć ze sobą. Dziś wieczorem, powracając od Lubkowskiego, wstąpię tutaj znowu, doniosę o rezultacie i daléj naradzimy się . . .

— A Feliks?

— Napomknąłem zlekka tylko, bo nie wiem co zamyśla Lubkowski. W każdym razie lepiéj dla pani będzie, jeżeli Stefanię usuniemy. No, ale mi czas w drogę.

— A zatem, do widzenia wieczorem.

— Do widzenia.

I sprzymierzeni podali sobie ręce. Bryczka wolnym truchtem puściła się w dalszą drogę. Podczas gdy pan Deodat jedzie i rachuje, naszkicuję wam choć pobieżnie, miłe czytelniczki, postacie p. Lubkowskiego i jego córki.

Miljoner! Iluż to ludzi wzdycha za tak ponętną nazwą! Pan Deodat np. który mimo tylu zabiegów, dopiero do ośmiukroć doprowadził! Dla niego, co pieniądz nazywał dźwignią społeczeństwa, pan Lubkowski był ideałem, uosobieniem szczęścia. A jednak, pan Lubkowski był bardzo nieszczęśliwym. Przed dwudziestu laty postradał ukochaną żonę, a pozostała dziesięcioletnia córeczka bynajmniéj nie obiecywała wstąpić w ślady matki. Od niemowlęctwa objawiał się w niéj gwałtowny i zawzięty charakter, który przedwcześnie marszczył jéj czoło i zarysy powiek w ostre układał fałdy. Twarz, ta wierna fotografia duszy, nagina się zawsze do myśli i usposobienia wewnętrznego; nic dziwnego więc, że Stefania, od natury nie obdarzona pięknością, w dwudziestym roku życia była nietylko brzydką, ale odpychającą. A że na partykularzu prędzéj jeszcze niż w mieście rozchodzą się różne zakulisowe sekrata, więc Stefania, mimo ogromnego posagu, nie mogła znaleźć męża. Trzy lata żartowała z tego; trzy lata czekała, trzy wzdychała i gniewała się, a od roku zatruwała ojcu życie w całém tego słowa znaczeniu, choć i przedtém pociechą mu nie była.

Pan Lubkowski przeżył samotnie najpiękniejsze lata mężczyzny. Dziś w wieku nieco podeszłym (miał bowiem 54 lat, a nie 52, jak twierdziła pani Anastazja), zapragnął towarzystwa, życia. Przed dwoma laty niespełna poznał panią Sarnicką, a na jéj widok zastygłe serce uderzyło echem dawnego, prawie zapomnianego uczucia. Pan Lubkowski zrobił rachunek sumienia, przekonał się, że czerstwo i niżéj wieku wygląda, że wedle Kochanowskiego

> Jeszcze serce nie stare, chociaż głowa siwa,

i postanowił ożenić się. Ale córka! ach, ta córka! . . . . pan Lubkowski słusznie lękał się o całość przyszłéj żony, wystawiony na codzienną zajadłość Stefanii. Chwytał się rozpaczliwych środków; chciał córce oddać wieś jednę, pod warunkiem, aby osobno mieszkała, ale Stefcia dowiedziawszy się o co chodzi, kamiennym uporem rozbijała zamiary ojca, zacnego, ale słabéj woli człowieka.

— Tu chcę być i tu zostanę. Ojciec niéma prawa wypędzać mnie.

A czas upływał, a pan Lubkowski gryzł się i martwił,

a panna Stefania coraz samowładniéj rządziła ojcem i domem. Służący strzegli się jéj jak zarazy, bo czynem i słowem wywierała władzę swoją. W słowach mianowicie spoczywała jéj potęga; słownik jéj ulubionych wyrazów, wyłącznie przez nią utworzonych, byłby nieocenionym materjałem dla zbieraczy osobliwości naszego języka.

Pan Deodat zajeżdżając przed ganek, już zdaleka usłyszał piskliwy głos, wołający w groźnym tonie:

— Flucha! klapzdra!! baciucha!!!

— Ho ho! pomyślał nasz faktor, gramoląc się z bryczki. Stefcia w złym sosie . . . tatko musiał bezwątpienia zamknąć się . . . w samą porę trafiłem; przy takim wybuchu łatwiéj interes pójdzie!

— Sługa panny Stefanii dobrodziejki! — rzekł wchodząc, a koło niego wymknęła się cichaczem zapłakana i rozczochrana służąca.

— A, to pan? . . . dzień-dobry!

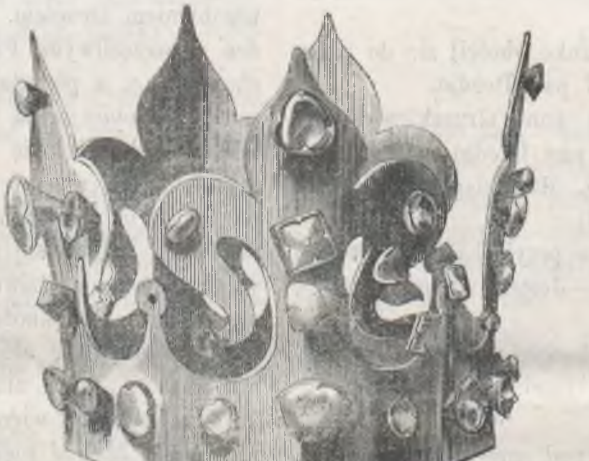
Dysząc jeszcze gniewem, panna Stefania obróciła się do wchodzącego lokaja.

— Gdzież jesteście, saligoty!? nigdy żadnego niéma . . . ruszaj do pana, powiedz, że pan Cezarkowski przyjechał . . . a ruszajże, galoniarzu! . . .

W tejże chwili wszedł pan Łubkowski, i nie spojrzawszy nawet na córkę, poprowadził gościa do swego pokoju.

— Cóż słychać, szanowny panie, jakże idzie? – pytał pan Deodat, siadając.

Pan Łubkowski machnął ręką.



KORONA znaleziona w trumnie Kazimierza Wielkiego (według fotografii W. Rzewuskiego).

— Spodziewam się, że zdrowie szanow . . .

— Zdrowie? — powtórzył ironicznie pan Łubkowski. Ot, nie umarłem jeszcze . . .

— Mój Boże! czyżby . . .

— Ot, i mówić nie warto! . . .

Nastąpiło milczenie. Gospodarz pasował się widocznie z sobą; dla ludzi miękkiego serca wielką jest ulgą, gdy ze swych cierpień zwierzyć się komukolwiek mogą, i wtedy nie zawsze stosownych powierników dobierają. Ale trudno powstrzymać wylew bolesnych, serce przepełniających myśli. Pan Łubkowski westchnął i rzekł:

— Na przykrą chwilę trafiłeś, kochany panie.

— Cóż się stało?

— Nie tajno panu, bo niestety! któż o tém nie wié? że moja Stefcia nie celuje słodyczą charakteru. Znosiłem dotąd wiele rzeczy cierpliwie, nawet z poświęceniem wielu nadziei . . .

— Aha! - pomyślał pan Deodat.

— . . . Ale dziś już rady sobie dać nie mogę. Stefania pozbawiła mnie najlepszych służących. Wczoraj ogrodnik podziękował za służbę, dziś lokaj, strzelec i kucharz . . . ekonom nie chce być dłużéj, bo do czego ona się nie wtrąci? . . . a jéj pokojówka uciekła przed kilkoma dniami, nawet nie zabierając swoich rzeczy . . . słyszysz pan? uciekła! . . . Cóż ja pocznę! . . . wkrótce, chyba sam za pługiem pójdę . . .

— Ach! gdyby to tak można! — pomyślał faktor, a głośno rzekł:

— Smutna, smutna okoliczność!

— Trzeba panu wiedzieć — ciągnął gospodarz — że zamyślałem się żenić . . .

— Istotnie? — zapytał pan Deodat, udając zdziwienie. — A teraz?

— Niewiem doprawdy co zrobić. Tysiąca środków probowałem . . . wszystko napróżno. A nie mogę żenić się, póki Stefania w domu. Ta córka, codzienna moja zgryzota, oczyby macosze wydarła!

— Hm, to smutne, bardzo smutne! . . . a gdyby oddalić z domu?

— Proponowałem . . . nie chce. Dawałem pół majątku . . .

Nagle krzyk i płacz dał się słyszeć, choć stłumiony przestrzenią dwóch zamkniętych pokoi. Głos piskliwy panny Stefanii górował jednak nad oddaleniem i wyraźne dochodziły słowa:

— Liżyłapy! niedołęgi!! półmiśniki!!! wydrzyskóry!!! słyszysz? . . . — mówił prawie

— Słyszysz pan? . . . z rozpaczą ojciec.

— Jedyny sposób — oddalić . . .

— To chyba zwiążę i przemocą wyszlę z domu! A i tak jestem pewny że nazajutrz wróci piechotą.

— Nie o takiém też oddaleniu mówię. Trzeba męża . . .

— Ha ha ha! — zaśmiał się gorzko pan Łubkowski. — Jeżeli milion nie znęcił nikogo przed dziesięcioma laty, témbardziéj dzisiaj . . .

— Kto wié? . . .

— A! — zawołał stroskany ojciec, chwytając się oburącz za głowę. — Dziesięć tysięcy dam temu, kto takiego głupca znajdzie!

Pan Deodat podskoczył na kanapie, ale wnet się zmiarkował. Tylko z oczu jego iskrzała nadziemska radość, w morzu chciwości tonąca.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KILKA CHARAKTERYSTYCZNYCH RYSÓW

Z ŻYCIA

MARJI STUART.

(Rzecz oparta na najnowszych badaniach historycznych)

przez *Edwarda Lubowskiego.*

(Ciąg dalszy).

VI.

Powierzyła się teraz zupełnie rządom Murraya, pod którego opieką chciała zażyć spokoju. W téj też epoce Botwel staje coraz bliżéj jéj osoby. Dnia 19 czerwca 1566 r. porodziła syna. Z doniesieniem o ważnym tym fakcie, wysłała wiernego Melvila do Elżbiety. Kiedy Melvil podczas balu dworskiego komunikował nowinę, Elżbieta zakryła twarz rękami i zawołała zgryźliwie: „królowa szkocka ma syna, ja tylko sama jestem niepłodném drzewem!“ Zgodziła się jednak nazajutrz, ażeby zostać chrzestną matką przyszłego króla Anglii. Gdy jéj jednak usilnie Melvil napomykał o obietnicy zapewnienia tronu potomkom Marji, zbyła go zimną uwagą téj treści, że szczerze życzy sobie, aby prawnicy angielscy przychylnie w téj sprawie orzekli.

Rysunki Artura Grotgera.

z wystawy paryzkiéj 1867



IV. LOSOWANIE.

Marja pod wrażeniem macierzyńskiego szczęścia przebaczyła niektórym sprawcom ostatniego spisku; jednemu tylko nie przebaczyła w swém sercu: Darnlejowi. Od czasu współudziału jego w zabójstwie Riccia, nienawiść jéj ku niemu połączona z pogardą nie znała granic. Zaczęła swą zemstę od tego, że w jego oczach . . . faworyzowała innych.

Nienasycone jéj serce i jéj ruchliwa a bystra wyobraźnia nowego szukały przedmiotu; i znalazły go w osobie Botwela, człowieka, o którym Randolf pisał, że „jeżeli kiedy urośnie w potęgę, będzie sępem dla tego królestwa.“ Przesytowi Marji, jéj namiętnym zachceniom, którym nigdy nie chciała i nie umiała tamy położyć, pociągająco musiał się wydać człowiek, któregoby można chyba porównać z jedną z kreacji Bajrona, z przodkami którego istotnie był spokrewniony.

Umysłu przewrotnego, odwagi gotowéj na wszystko, egoizmu nie znającego miary, postaci marcjalnéj, rysów pięknych — człowiek ten nie był innym i w czynach. — Życie jego było ciągłém zgorszeniem — miał trzy żony, z których każda uważała się za prawną jego małżonkę. Być więc może, powtarzamy, że fatalny ten człowiek już samym rozgłosem swoich awantur, podbił awanturniczą, zmienną i ruchliwą wyobraźnię Marji, témbardziéj gdy zjawienie się niejakiéj pani Renes, dawnéj kochanki Botwela, wzmocniła dziwny ten urok. I zaiste był on tak dziwnym, że dworzanie nie wahali się twierdzić, iż królowa zostaje pod wpływem jakiegoś czarodziejskiego napoju. Otóż intrygantka wprowadziła Botwela potajemnie, ówcześnie praktykowanym zwyczajem aż do komnaty królowéj.

Marja raz już wepchnięta na drogę nowéj namiętności, oddała jéj się bezwzględnie, z pominięciem opinii publicznéj, godności swéj królewskiéj i kobiecéj. Dowiodła tego rychle, gdy po mianowaniu Botwela dowódzcą nadgranicznym, nie lękała się odwiedzić ranionego w jednéj z wypraw, odbywszy umyślnie w tym celu dwudziestomilową podróż przez bagna i wertepy. Był-to hołd zbyt jawny, świadczący wymownie o sile gwałtownego uczucia Marji. Sonet pozostały z tych czasów, palący, tryskający roskoszą, najlepszém był tego świadectwem.

Z kochanka, wyrósł wkrótce Bothwel na samowładnego pana serca i woli królowéj, okazującéj mu jawnie

swą miłość, nie tającéj się już ze swym wstrętem ku małżonkowi. Nieszczęśliwy też to był małżonek i król! Nie szczędzono mu obelg różnego rodzaju i szyderstw; dworacy patrzyli nań z uśmiechem ironicznym, nie powstawali nawet z miejsca w jego obecności, nadto zaprowadzono oszczędności w jego wydatkach, zmniejszono mu liczbę sług, odebrano naczynia stołowe ze złota, słowem wszyscy, niewyjmując sług jego, stali się narzędziami Botwela a jego prześladowcami.

Jeden mu tylko pozostał wiernym do końca — paź jego, Taylor. Słowacki widocznie przemienił go w swoim dramacie na Nicka. Młody ten człowiek przylgnął całém sercem do swego pana.

Darnlej nie był obecnym na chrzcie swego syna, odbytym w zamku Stirling. Botwel mimo że protestant, zastąpił go tak, jak go zastąpił w miłości i rządach. — Urósł bowiem już w taką potęgę, że kaprys jego stawał się prawem dla wszystkich, że nie szanował nic i nikogo, że pomiatał duchowieństwem protestanckiém, królem i lordami, że wreszcie saméj królowéj nałożył jarzmo nie do zniesienia dla każdéj innéj, mniéj cokolwiek zaślepionéj kobiety.

Zmęczony, zgnębiony fizycznie i moralnie, postanowił Darnlej zażyć spokoju w domu swych rodziców. Rozstał się nie bez żalu z dotychczasową siedzibą, bo kochał królowę. Przybył do Glasgowa prawie umierający. Zwołani lekarze oświadczyli, że król jest otruty, co jednak pokazało się mylném. Można jednak z tego wnosić, jakie to już wtedy miano podejrzenia.

To upokorzenie Darnleja nie było jednak wystarczającém dla Marji, nieubłaganéj w konsekwencji każdorazowéj swéj miłości. Chciała zostać czemś więcéj dla Botwela aniżeli kochanką; ale temu przeszkadzał król jeszcze żyjący. Dlatego była smutną i ponurą. Usłużni pochlebcy, w których liczbie znajdował się naonczas Lethington, oświadczyli się wyraźnie z chęcią uwolnienia jéj od nienawistnego towarzysza, na co królowa odpowiadała tak słabym ogólnikiem, że aż zakrawał widocznie na zezwolenie. Pod wpływem jednéj z takich usłużnych pogawędek, utworzyło się grono ludzi, które zredagowało tak zwany *band* zamordowania Darnleja. Należeli do niego Huntly, Argill, Lethington i naturalnie Botwel. Morton i Murray nie podpisali się, powodowani raczéj roztropnością aniżeli sumieniem. I cóż powiedziała na to królowa, wiedząca o zamiarze mającym pozbawić życia małżonka? Nie tylko nie przeszkadzała, ale raz już stanąwszy nad brzegiem przepaści, biegła w nią na oślep, słuchając tylko szatańskich podszeptów Botwela. Za jego też namową jedzie do Glasgowa pod pozorem pielęgnowania zdrowia Darnleja, a w rzeczywistości, aby chorego sprowadzić napowrót do Edynburga, gdzie zabójcy swobodniejszą mogli mieć rękę.

Ważny ten moment w życiu Marji Stuart, nie dający się niczém późniéj usprawiedliwić, potwierdzają jéj listy do Botwela, listy, za których autentycznością przemawiają najznakomitsi krytycy i uczeni, jak naprzykład: Hume Robertson, Raumer, Mignet, wbrew księciu Labanon i W. Tytler. Oto niektóre z nich wyjątki:

Królowa opowiadając miłosne słowa Darnleja tak je powtarza:

... „Jeżeli mi przebaczysz, przyrzekam nigdy Cię więcéj nie obrażać. Bóg widzi, ile cierpię za to, żem Cię zrobiła swojém bożyszczem, o którém nie mogę przestać myśléć.“

W drugim znów miejscu:

„Gdybym nie wiedziała z doświadczenia, że on (Darnlej) ma serce miękkie jak wosk, a ja twarde jak djament, którego żaden strzał (chyba z twojéj ręki) przeszyć nie zdoła, byłabym się nieomal nad dolą jego ulitowała. — W każdym razie bądź spokojny.“

Albo trochę daléj:

„Przymuszasz mnie do udawania, którém się brzydzę, i gdyby nie chęć przypodobania się Tobie, wolałabym umrzeć aniżeli tak te rzeczy pełnić, ponieważ serce mi się od nich krwawi. Krótko mówiąc, nie chce on wracać ze mną, chyba pod warunkiem, że go znów przyjmę do swego stołu, i że go już nie opuszczę; jeżeli mu to przyrzeknę, uczyni wszystko i *pojedzie ze mną.*“

Kończy list tą apostrofą do Botwela:

„Jak synogarlica bez towarzysza, tak ja pozostanę tu sama, opłakując Twoją nieobecność, choćby najkrócéj trwać miała. List ten szczęśliwszy odemnie pójdzie w ten wieczór tam, gdzie ja iść nie mogę.“

(Ciąg dalszy nastąpi).

LISTY BEZ PROGRAMU.

I.

Wyobrażam sobie coby się to działo, gdyby pogrzeb Kazimierza Wielkiego odbył się według pierwszego *abrysu.* — Lwów niezawodnie wybrałby się zbrojno do nas i *nolens volens* musielibyśmy zabawić się w małą partyzantkę, a obchód Unii odłożyć do czasów braterskiego zlania się dwóch stolic, w wiecznéj ze sobą negacji żyjących! — Kraków, który myślał że dokonał dzieła olbrzymiej odwagi politycznéj, i wycieńczony w dyplomatycznym rozumie, spoczywa sobie spokojniuteńko na honorze i sumieniu — ten Kraków, co w patryotycznych uczuciach dla kraju przechodzi *najdemagogiczniejszych* (przepraszam gramatyków) emigrantów — jeszcze raz powtarzam, ten Kraków znosi dzisiaj krzyż Pański, za najlepsze swoje *chęci*, za najuczciwsze *zamiary!* Bardzo to wygodnie Lwowianom krzyczeć gwałtu, kiedy u nich cicho i spokojnie; ale nam, *skompromitowanym* przez pogrzeb króla Polskiego — w obec narodu moskiewskiego i jego dele-

gata p. Rydzewskiego komisarza X-go cyrkułu, nie bardzo bezpiecznie bawić się w patryotyczne zachcianki. A nużby Moskwa zabroniła pogrzebu? w cóżby się obróciła nasza godność obywatelska? — Zresztą wolnoć Tomku w swoim domku, każdy jest panem u siebie. — Co zaś do *Zygmunta*, ten nie mógł śpiewać pogrzebowego hymnu, bo jak świadectwa lekarskie, złożone w kapitule, zaręczają — dostał kataru. — Zresztą przypuśćmy nawet, gdyby jaka *kapitalna* powaga zmusiła staruszka by na jeden dzień pogodził się z uczuciami narodu i zagrał nam uroczystą pieśń, od ziemi do nieba płynącą, to i cóż? Czy myślicie że król Polski dba o te wasze marności? — Albo krzyczycie czemu nie było kazania? Jakto nie było? Wszakżeż Ri . . . . chciałem powiedzieć Rabbi żydowski przemawiał do was na Waw . . . chciałem rzec w synagodze tutejszéj — no i cóż? — czy myślicie że mu *zapłacono* co za to? — *Gratis* jak mi honor miły *gratis* rozrzewniał żydów. Prawda, że mówił prześlicznie, zupełnie jak uczciwy Polak, ale niechno sprobuje wyściubić nosa za kordon! — a zobaczemy jak mu tam *nadgrodzą*. Patryotyzm wasz Mości Lwowianie to utopje, marne utopje, słowo honoru! a złość wasza do nas, przyznajcie że nie bez kozery. — Ot, zdaje mi się (czego prawie jestem pewny) że idzie wam tu więcéj o to, żeście kilka niewygodnych noclegów spędzili pod gwiazdami, na plantach — ależ do licha powinniście mieć nas za wytłumaczonych — nie myśleliśmy aby was tak dużo przyjechało z *zagranicy*. W końcu nie ma znów o co rozpaczać. Stało się! A że nam historja wsiędzie trocha na karki, to ręczę wam, że my nie przeżyjemy historji. Dalibyście więc pokój krzykom i hałasom, bo to na przyzwoicie wychowanych ludzi nie przystoi.

Zresztą gdyby nam miały następne pokolenia zanadto dokuczać, to zwalimy to na emigracją, która jak wiekopomnéj pamięci Stańczyk zaręcza, gwałtem pragnie wojny Rosji z Austrją, aby się wyswobodzić z paryskiéj *nie... doli*. Otóż natrafiłem na orzech twardszy niż rzeczywisty orzech do zgryzienia. — Proszę was zacni moi (przypuszczam że już was przekonałem iż z pogrzebem inaczéj być nie mogło) otóż powtarzam, proszę was, co to są te emigranty? Nie znacie ich? No, to na złagodzenie sprawy u nas dawno już zapitéj, powiem wam, że według historji naturalnéj są to także ludzie, tylko cokolwiek odmiennego oblicza niż nasze. Żywią się samą rewolucją lub partyzantką, śpią na konspiracji a dzieci swoje kołyszą na s z t y l e t a c h! — Okropności! — Naród ten żyje na rozmaitych punktach świata — gdzie tylko nieoględne rządy sprawiły swoim narodom konstytucję. My tutaj nie mamy dokładnego wyobrażenia o tych dziwolągach, ale p. Makary, jeden z najznaczniejszych obywateli naszych, jeździł umyślnie podczas wystawy do Paryża (kosztem kraju ma się rozumieć) aby przekonać się na gruncie, co zacz jest ten naród rewolucyjny. Otóż według sprawozdania pana Makarego, oprócz powyżéj przytoczonych przymiotów, są to istoty wiecznie głodne, tak, iż pod słowem zaręczał nam p. Makary, gotowi połknąć na jedno śniadanie całą Galicją. Ja sam kiedy myślę o tém, krzyczę gwałtu, chociaż nigdy z żadnym z nich nie rozmawiałem. Powiadają, że ci ludzie wzięli już „*Wieczność*“ forpocztowym bojem i myślą o obaleniu tronu Pady-Szacha! ani wiemy jak się bronić od nich, bo to podobno podstępny lud jest a chytry *władzy*. Wszystkie więc Towarzystwa tutejsze są na stopie wojennéj, i baczą pilnie aby się nieprzyjaciel nie zakradł i ze swéj partji nie osadził jakiego prezesa na wakującym tronie.

Drodzy a miłosierni Lwowianie, wy co macie odwagi do zbytku, pomóżcie nam, bo już nie wiemy co czynić. Ręczę, że poczujecie się w *jedności*, gdy wspólnéj naszéj ojczyznie grozi niechybny upadek na drodze powagi dyplomatycznéj i politycznego rozsądku.

w Zaciszu, d. 13 lipca 1869 r.

+ + +

*** Numer 1. „Światła zagrobowego“ wyszedł z druku i zawiera kilka artykułów dosyć znakomitych nieboszczyków, jak np. *Napoleona I.* i *Juliusza Słowackiego*. O ile mogliśmy zauważyć z pierwszego występu duchów literatów — życie zagrobowe wpłynęło wielce na zmianę usposobienia i stylu tych dwóch gieniuszów za życia. Podobno w następnych numerach wyczytamy spowiedź więźnia Ś. Heleny i dowiemy się w dodatku kogo chciał Słowacki przedstawić w *Kordjanie*. Będą to rzeczy arcyciekawe, a jeżeli nieboszczyk poeta wytłumaczy jeszcze całego „Króla Ducha,“ narobi niemało kłopotu panu *Małeckiemu* i *Libeltowi*, którzy widać przedwcześnie mózg sobie suszyli nad wynalezieniem klucza do tajemniczych myśli poety. Dziś jeszcze niepodobna nam orzec jak daleko zajść może Redakcja „Światła Zagrobowego“ z panią *Malwiną G.* na czele, która to osoba, występuje jako „medjum“ wszystkich duchów błąkających się we Lwowie; mamy przecież prawo spodziewać się, że wkrótce będziemy przynajmniéj wiedzieć nieochybnie, które numera wygrywać będą na loterji, lub co lepiéj, gdzie duchy strzegą skarbów zakopanych. Gdyby Szanowna Redakcja „Światła Zagrobowego“ raczyła się porozumieć z duchem *Mikołaja* wpłynęłoby to niemało na rozjaśnienie niejednéj sprawy dosyć dla nas dzisiaj jeszcze zawikłanéj. Odwołując się do patryotycznych usposobień Szanownych współpracowników „Światła Zagrobowego,“ mamy prawo spodziewać się, że niedługo dowiemy się kiedy i kto nas wyswobodzi z niewoli moskiewskiéj.

W końcu radzibyśmy kilka słów serjo powiedzieć o skutkach chwilowego obłędu *spirytystycznego*, jaki u nas wywołać może nieoględne traktowanie tego przedmiotu, który ani dostatecznie wyjaśnionym, ani zbadanym dosyć nie jest, aby miał przejść w nieomylną wiarę lub pewnik naukowy. Ktoby przecież chciał zdać sobie sprawę z nauki *Magnetyzmu zwierzęcego*, na którym podobnego rodzaju wizje i proroctwa się opierają, nie radzimy mu poczynać studjów na téj drodze, od czytania sprawozdań pośmiertnych. — Że w naturze są siły niezbadane jeszcze, że objawy ich nie są docieczone przez rozum człowieka, w to nikt nie wątpi, ale trudno pogodzić się z rozsądkiem, gdybyśmy chcieli przypuścić tylko,

aby tajemnica grobu stała otworem dla rozumu człowieka.— Pieczęci téj ludzkość nie rozłamie nigdy, poza nią bowiem nie wynik badań i traktatów naukowych, ale głęboka *wiara* w życie przyszłe spoczywa, a ostateczne rozwiązanie zdaje się zostawił *tylko samemu sobie* Przedwieczny.

*** *„Zabiegi Moskwy nad Dunajem i Bosforem“* (od 1711 do 1866 r.) przez Wł. S.

Od niedawnych dopiero czasów zaczęto myśleć w Europie nad groźnym nieprzyjacielem Zachodniéj cywilizacji, który według testamentu Piotra Wielkiego ma kiedyś zapanować nad światem.

Obecnie kilkanaście broszurek dotykających téj kwestji obiega świat polityczny, i zdaje się, że niéma już takich, którzyby w jakieś liberalne zasady najdespotyczniejszego rządu wierzyli. Do jednych z bardzo pouczających w tym względzie komentarzy należy broszura p. W. S. o „Zabiegach Moskwy,“ która napisana jest bez żadnych poglądów uprzedzonych i namiętnych frazesów. — Życzyćby wypadało, aby tego rodzaju prace tłumaczone były na języki obce, by tym sposobem z najlepszych źródeł czerpane fakta Europa miała przed oczami.

*** We wtorek, dnia 13 b. m. w ogrodzie Strzeleckim od czasu owego zajścia z pp. officerami moskiewskiego telegrafu, po raz pierwszy grała muzyka wojskowa. A jak nam sam gospodarz zaręcza, przerwa ta nie z innych względów wynikła, jak tylko z powodu, że w skutek rozjazdu muzykantów za urlopami, nie można było skompletować orkiestry.

Szkic humorystyczny W. S.
Najmodniejsze ogony u sukien damskich.



*** *Angielski punkt honoru.* Pewien nasz magnat grał w karty z lordem angielskim. W czasie gry, Polakowi upadł pod stół papierek stu guldenowy, a kiedy nasz magnat schylił się aby go odszukać, Anglik chcąc zawstydzić miljonowego skąpca, zapaliwszy papier wartości tysiąca funt. sterlingów, rzekł najuprzejmniéj: pozwolisz panie hrabio że ci poświcę.

*** *„Strzecha“* wzmiankując w IX zeszycie o „Kalinie“ wyraża swoją obawę, czy nas w końcu nie będzie za wielu. Co do nas, jesteśmy zawsze spokojni, ile razy na dobréj drodze spotkamy *liczbę mnogą.* Że między nami znajdą się gorsi i lepsi — to przypuścić można — a sąd o tém należy do czytającéj publiki. Nie pragnąc przyswajać sobie monopolu wyłącznych korzyści, chętnie ustępujemy na drodze rywalizacji, szukając jedynie drogi wspólnych dążeń do lepszego.

Korespondencja „Kaliny.“

P. **S. W.** — Gdzie pani każe przesłać odpowiedź o kwestji zawartéj w programie koncertowym?

P. **Ja. Prz.** we Lwowie. — Talent pański widocznie nie może się pogodzić z rymem męzkim.

P. **A. D.** — Prosimy aby nam udzielił bliższych co do tego przedmiotu szczegółów.

P. **Wł. Ł.** prosimy o adres i bliższe porozumienie się z redakcją.

Kierujący Redakcją Aleksander Dawidowicz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie [illegible] złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: rocznie: 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c. w. a.
Prenumerata zagraniczna: bez **mód** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.
W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Bracka gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencji „Czasu“ księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.
W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.
W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.
Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcji.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

W drukarni „Czasu“ W. Kirchmayera. Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*